

Adolf Nowaczyński

Malraux w Moskwie

ET TOUT ÇA LIT?

Pojechał na ten zjazd literacki razem z Jean Richardem Blochem; pilotował ich, cyceronował i infiltrował Ilja (Muromiec) Erenburg. Ze „znakomitości” europejskich przybyli jeszcze Martin Andersen Nexø, Louis Aragon, Toller i jakies jeszcze pokatniejsze postacie. Rarytasem i osobliwą osobliwością zjazdu była Chinka, chińska komunistka, dziewczę kilkunastoletnie, do niedawna studiujące w Berlinie, debiutantka literacka Chuan-Lang-Czi, której powierzono ważną rolę reprezentantki „pięciuset milionów” katowanego proletariatu chińskiego.

Kiedy Malraux wchodził na salę, gdzie było zebranych coś ze dwadzieścia tysięcy literatów z Eurazji i z Azji, miał podobno przerażony zawołać: Et tout ça écrit? Odpowiedziano mu, że tak, że samych Wielkorosów piszących jest 1.535, Ukraińców 206, Gruzinów 158, Armeńczyków 90, Białorusinów 100, po czym jeszcze idzie 30 nowelistów Czuwaszów, 20 komedjopisarzy z Tadżykistanu, 40 liryków Uzbekich etc. etc. Et tout ça écrit.

Dom książki sowieckiej liczy pięćdziesiąt.

Dziennie wychodzi drukiem 60 tysięcy tomów. Nowa monografia o Gorkim liczy 600 stron (to dosłownie) (co można o Gorkim na 600 stronach?).

Thumaczy się z obcych piśmiennictw (wyjaśniał Erenburg Malraux) wszystko. I ludy republik radzieckich czytają wszystko. Świeżo wydano dziesięć tomów Goethego, starohiszpańskie nowele Cervantesa, „Faccieje”, starowłoskie Braccioliniego... I to wszystko w Sowietach czytają. Ale jeżeli jeszcze z innych piśmiennictw europejskich przebieiera się i dobiera, to z francuskiej literatury tłumaczy się literalnie nie tylko całe tomy, ale całe tonny.

Wyszły Pamflety Marata, ale wyszły i Pamiętniki Talleyranda, siedem tomów Flauberta i sześć tomów Prousta. cały Stendhal i cały France. I to wszystko jest w mig rozchwytywane i na śmierć zaczytywane. wychodzi z kursu w strzępach. Merimee (M. E. R. I. M. E. E.) został na stare lata po śmierci popularnym nazwiskiem i w Charkowie i w Tambowie; Carmen odpowiadają autentyczni Cyganie, odpowiadają pod reżyserją towarzysza Goldblatta (a kapelmistrz toż). „Disraeli” Maurois. Herzoga tłumaczony. Celine’a tłumaczyła towarzyszką Elsa Triolet (sic!). Na repertuarze zimowym stary, zapomniany w Paryżu melodramat anachisty Pyata: „Les Shiffoniers de Paris” (r. 1847) ostatnio zapowiedziane tłumaczenia nowych książek Bendy, Romaina, Guenheno, Braibanta, Ramona Fernandez, Valéry, Cremieux i całego szeregu wielkich „Prometeów”, jak ich tam nazywają.

ET TOUT ÇA ÉCRIT?

Można sobie teraz wyobrazić, jak oszomolony i ośniony był André Malraux. Et tout ça lit? Tak, to wszystko pochłaniają w Sowietach. Ale nie tylko się czyta. Równocześnie przerabia dla teatru i dla kin. Na dowód czego zawarto z paryskim gościem natychmiastowy układ. Rewanż za wizytę i reklamę: La Condition Humaine tłumaczy i przerabia na scenę Erenburg i wystawia Meyerhold, podczas kiedy na film przerabia Eisenstein, a muzykę pisze sam Prokofjew, toż e Prokofjew.

Można sobie teraz wyobrazić, jak ośniony i oszomolony był André Malraux, kiedy z Blochem odjeżdżał, odprowadzany na kolej przez Eisensteina, Meyerholda, Erenburga, Prokofjewa, Sobelsohna, dalej przez B. Lewina (szefa wydawniczej associacji „Lip”) przez Pasternaka, Kirszona, Kolicowa, Babiela, Bezimińskiego,

Marszaka, dalej takich samych „Ukraińców”: Kulika i Kirpotina, reprezentanta ludów syberyjskich Goldberga (dosłownie) i Ginzburga, autora scenicznego reportażu „historycznego” o „szlachcie polskim”. Dzierżyńskim. Czy można się dziwić teraz zachwytem Malraux, gdy będzie opowiadał, jak to szczęśliwie dziś ludy republik radzieckich zaczytują się w „Bukolikach” Vergilego, okłaskują w teatrze „Velpone” Ben Johnsona, wchłaniają Rollanda, lubują się w Romainie, a z niecierpliwością czekają na obiecany przekład Martin du Gard’a: „La Vieille France”?

PALACZ OKRĘTOWY.

Ilja Muromiec-Erenburg opisuje pierwsze początki ekstazy Malraux w ten sposób:

„Jechałem sowieckim statkiem z Londynu do Leningradu. Ze mną jechał francuski pisarz André Malraux. Zabawił się z kapitanem. Jeden z palaczy okrętowych zapytał go: „Jak wam się podoba towarzyszu Malraux powieść „Falszerze” André Gide’a?”

„Widziałem jak francuski pisarz patrzył na palacza dumnym wzrokiem, a ja cieszyłem się z tego, jak oto w oczach tych ludzi realizują się takie wspaniałe bajki! A potem André Malraux przyjechał do Moskwy. Zwiedzał fabryki. Robociznie rozmawiał z nim o Stendhalu, Majakowskim, Puszkynie i Babracu. Komсомолец z fabryki „Szarykopszipsnik” pytał go o poematy Pawła Valéry’ego.

Obywatelu Durand (Dupont?), pan uczęszczał do Sorbony, ale czy pan co wie o naszym poecie Pawle Valérym?”

Takim ironicznym zapytaniem kończy Erenburg swoje kawały, swoje chwytki, swoje fishing, swój połów paryskich pisarzy. Można sobie teraz wyobrazić oszomolnienie, ośnienie, rozczulenie André Gide’a i Pawła Valéry’ego na myśl samą, że oni stosunkowo bardzo mało popularni w szerokiej Francji, znani tylko właściwie prasie, czytani przez kilka-

naście, czy kilkadziesiąt tysięcy intelektualnej elity paryskiej i kosmopolitycznej nagle i nadszpodziewanie („zabłądzili pod strzechy”, stali się ulubieńcami szerołkich mas pracującego ludu w Sowietach... że palacze na okrętach, robotnicy we fabrykach zaczytują się w autorze „Si le Grain ne meurt”... Szybko te mity i te legendy rozejdą się we wszystkich paryskich środowiskach i koterjach, klikach i kapliczkach literackich. Od jakich rozmiarów dorosnie ten palacz okrętowy, w wolnym czasie zaczytujący się w autorze „Króla Kandaulesa”.

MY POLACY - BIEDACY...

I cóż teraz my Polacy-biedacy możemy przeciwstawić, i z czym my możemy konkurować, co my przedstawiamy... rynkowo za interes dla takich literackich paryskich wielkości, jak panowie-towarzysze Gide i Malraux, no i jak wogóle omal oni wszyscy?

Przez lat piętnaście czy siedemnaście właściwie ani jeden z nich nie rządził zawadzić choćby o Polskę i wstąpił w nasze niskie progi. Niekiedy aż smutno się robi, że tak wojażują po całym świecie francuskie klerki, zwiedzają wszystkie kontynenty i kraje nie tylko egzotyczne, a jakoś ani jeden nie zaciekał się wskrzeszoną sojusznicą Polską, jej ludźmi i jej krajem. Skąd, bo nie czerpali swych tematów tak czarujący pisarz, jak Morand, tak interesujący jak Benoit, tak aktualni zawsze jak bracia Tharaud, a z sojuszniczej Polski dosłownie żaden, ani jeden czołowy romancier, ani jeden podróżnik literackiej rangi, ani jeden publicysta pierwszej klasy.

Poprostu jakby omijali, omal jakby sabotowali. Do Moskwy przez Polskę przejeżdżali często,

jak przez most lub nawet przez tunel, nie wychylając nawet głowy z okien sleepingów. Palestynę Syjońska odwiedziło stosunkowo bardzo wielu, zaskarbiając sobie maleńkimi tomikami wielką i dźwięczną wdzięczność. Myśmy zaskarbić sobie nawet ich przełotnego turystycznego zainteresowania jakoś nie zdołali. Ostatni właściwie wielki pisarz francuski, który przejeżdżał przez Polskę był... Balzac. I ten sam jedyny, który się Polską i Polakami głębiej interesował. Od tego czasu pauza, która trwa właściwie już coś bezmała sto lat.

ZDAWAŁO SIĘ...

Po wybuchu i nastaniu Polski zdawało się nam wszystkim, że pokolei będziemy gościć tu jednego pisarza po drugim, że będą bankiety dla Caillaveta, dla de Flersa, Verneilla, Kistemackersa, Bourdeta, że do obozu narodowego zjedzie Maurras, do katolików Mauriac, do socjalistów Margueritte, do Nalewek Maurois recte Herzig. Romain i Pagnol byli tak świetnie grywani i wystawiani w Warszawie, że ich wizyt można było oczekiwać ze stu procentową pewnością. Wizytowali przecież na swe premiery i Wiedeń i Pragę...

Tymczasem nic z tego. Ani Warszawa po r. 1926 (po maju), ani Warszawa przed majem nie miała jakoś dla pisarzy paryskich nie fascynującego, nie magnetycznego, nie oczekującego. Tak, tak smutne la crimacrum.

Teraz zaczął się znów jakiś wielki ciąg w stronę bliskiego Wschodu. Po wytwornym także i—pisarzu Herriocie, po Cocie, po ministrze i też ostatnio rozslanym Bonnicie, rozpływającym się w ekstazach w „Le Petit Pharisien”, jadą śmiałe bas bleu André Violis, czy Ella

Maillart. A potem piszące małżeństwo Cremieux - Schreiber rozdziela swe entuzjazy objektywne w ten sposób, że pan Schreiber wpada w szal zachwytów nad Ameryką Roosevelta i Morgenthaua, w jej ostatniej fazie (w Illustration), a madame Schreiber (neé Cremieux) panegiryzuje republik radzieckie w „Journal le Moscou”.

Nie wybierają się jakoś w tamte strony ani sędziwy 70-letni Romain Rolland z willi Rolland w Villeneuve (Suisse), świeżo poślubiony komuniste Rosjance, Marji Michajłownie Kudaszewie. Ani też jakoś nie wybiera się rzetelny, autentyczny, z dawien dawna komunist Henri Barbusse, byleż „Clarthe” organizator.

KRÓLOWA SABA

Młody Malraux pojechał tam chętnie i odrazu.

Niedługo chyba kusili go Erenburg, Bloch, Schreiber, Cremieux, i Excremieux. Wielki to talent, ale reklamiarz i spryciarz też niecodziennej miary. Nawet wśród paryskich komercyjnych intelektualistów indywidualność w arizmie niedościgniona. Jako autor z „Dernier Empereur” nikomu był nieznanym. Często dziś u paryskich klerków nostalgia de la Barbarie zapędziła go więc aż do Arabii... (H a r a b i a) i to Południowej, pustynnej. A r a b i a d e s e r t a. Kiedyś tam dotarł jeden z Halewych! (1870). Malraux oczywiście aeroplanem z pilotem Molinierem. W 10 i pół (dziesięć i pół) godzin robiąc po 200 klm., przeleciał całą! No i przez ten czas jednak zdołał błyskawicznie odkryć stolicę królowej Saby. Królowa Saby była kochanką króla Salomona. Odkrył Sabę, odkrył

ogrody Saby, i ruiny miasta marmurowego i z cmentarza zdołał naliczyć 2000 grobowców. więc i zdjęcia kinowe porobił. Odkrycie ruin stolicy królowej Saby roztelegrafowała Agencja Hawasa (t o ż e Ullman) na cały świat. Wprawdzie zgasił go za te „odkrycia” i fałszowaną reklamę Saby uczony podróżnik, prof. Beneyton i tak zdemaskował bluff, że nie zostało z kaczki fantastycznej ani piórka, ani strzępa.

Wizyta Malraux w Moskwie i owacyjne przyjęcie w Sali kolumnowej dawnego Szlacheckiego Klubu należy traktować też jako rodzaj, czy odmianę odkrycia Saby. Jest w tem dużo idealizmu (s u i g e n e r i s), ale jest też i b i g b u s i n e s s.

O komercjalizacji literatury francuskiej napisał całą ciekawą rozprawę Henri Massis. Twórczość stała się tam w Paryżu także gałązką przemysłu. Powieść, poemat, dramat jest także artykułem handlowym, towarem na eksport. Pożąda tedy i domaga się wielkich rynków zbytu.

NIE MOŻNA SIĘ DZIWIĆ

Nie można się więc zbyt epatować tem ani obawiać, że w Paryżu rosną czerwone muchomory, jak po deszczu, po złotym deszczu Danae. I nie należy się dziwić, że codziennie zaciągają się ktośś z celebrities do t. zw. Moscouitierów, czego nie należy mieszać z dawnymi Muszkietierami króla Jegomości.

Toteż, jak nie można się dziwić obrotu i młodemu Malraux, tak też i nie należy dać się zaskoczyć ewolucjom i „awatarom” starego Gide’a. Perwersyjne kalwinisko zawsze było naturą bluszczoową. Zawsze był duchowym ambasadorem zagranicznych mocarstw nowalij. Raz się bluszczo owiał koło potężnego kolosu Dostojewskiego, raz egzaltował przepięknie kult Conrada, (którego jest moralną i duchową antypodą), raz przesłennie lansował naszego Wojtkiewicza, to znów Oskar Wilde był bożyszczem... byle być jak najdalej i najwyżej nad „foira” i nad literackimi kramami, kramarzami i faux-monnayers.

A czy tam rzetelny bolszewik Barbusse „pluje” na takiego krezuza konwertę bez jednej uncji socjalnego zmysłu przez lat 60 egzystującego, czy na Kremlu słusznie kpią sobie z takich apostołów z „kościanej wieży” (słoniowa kość), to już szermetrowi Gidowi obojętne i „żemantfiszne”... Nie będzie jego tasiecowych monologów Hybrydycznych (obojnaćtwo) nadal czytywał Paryż (ingrata patria), ale będą zato zaczytywali się robociarze w Stalingrodzie i hajcerzy (palacze) na statkach. I tak swą relatywną nieśmiertelność asekuruje duplikat France’a dla potomności. I odtąd żyje w iluzji, ba jest głęboko przekonany, że dzięki optowaniu za komunizmem i akcesowi do Moskoutierów, będą go czytali jeszcze i za lat dziesięć... Szczęśliwy iluzjonista!

Nasz rynek zbytu dla zawsze świetnych wyrobów i wytworów paryskich jest i za mały i za biedny. Królowa Saba też tu swojej stolicy nie miała. Do odkrywiania niewiele. Kawioru niema wcale. Nawto wszystkie szadachy rajfurzy Paryżanom z pominięciem Polski odrazu białokamienną Moskwę. Jedyny nasz egzotyzm, to cadyki z Góry Kalwarii i ze Sadowgóry. Ale choćby dla nich samych oplaciłoby się i do Polski sojuszniczej się zabłąkać. Powieść na tem tle mogłaby w rewanżu przynieść i nagrodę Goncourtów i Legię i dać patent do nieśmiertelności.

Więc możeby jednak p. Bloch namówił, czy naraił któregoś z szermetrów? Par exemple...

Bronisław Komierowski

W obronie zmarłych

Natrafiliem niedawno na artykuł p. Adama Czartowskiego: „Cyprian Norwid a Sobiescy”. Na ten temat napisało już dużo rzeczy, mniej lub więcej potrzebnych. Nie zabierałbym też głosu, gdyby nie szczególny nacisk, jaki autor kładzie na narkowy charakter swego wystąpienia, dochodząc jednocześnie do wniosku, uwieczniających pamięci szeregu zaenych ludzi.

Pracy naukowej stawia się pewne wymagania ścisłości, metody i dokumentacji, tem surowe, im wynik ma większe znaczenie. Fakty, poruszone w artykule, są mi dobrze znane, osoby, które autor wymienia, znałem albo osobiście — o ile dotyczy moich czasów — albo ze słów bezpośrednich świadków i dokumentów rodzinnych. Czuję się zatem w prawie zakwestionować i naukowo metody i jej wyniki.

W jakim celu autor swój artykuł napisał? Czy podaje jaki rewelacyjny szczegół, dotyczący rodzinnych stosunków poety, czy odnalazł jakiś nieznaną dokument? Nie. O pokrewieństwie Norwida z Sobieskimi przez babkę, z domu Sobieską, wiem już dobrze. Szczegóły o Sobieskich w os. ich pokoleniach także są znane. W końcu ubiegłego roku sam podałem dokładne dane o ostatnich Sobieskich w Czasie i w Dniu Polskim. Wreszcie genealogia Sobieskich jest już dokładnie opracowana.

Ta następcza się uwaga. Autor twierdzi, że korzystał z oryginału drzewa genealogicznego Sobieskich — twierdzenie to muszę podać w wątpliwość. Oryginał, zatwierdzony przez Radę Koronną w 1788 r., był w posiadaniu Zofji Sobieskiej, córki Michała. W latach 70-tych Zofja Sobieska posłała go bratu, Sewerynowi, do Belgii. Seweryn, emigrant z 31 r., służył w wojsku belgijskim. W czasie wojny wspomnianym zagwał od siostry dokumentów, stwierdzających jego wysokie kolicę, dla otrzymania od rządu bel-

gijskiego jakiejś dotacji. Nie zdaje mi się, aby cenny dokument mógł wrócić do kraju. Seweryn był żonaty z Belgijką, potomstwa meńskiego nie zostawił i wkrótce potem umarł. W kraju zostało kilka kopii, jedną z nich zapewne miał autor w rękę.

Z tego źródła, a także z Akt Heroldji, podaje niektóre szczegóły o przodkach babki poety i jej rodzeństwie — czym się niebawem zajmujemy. Dowiedźmy się tymczasem, że Norwid źle się orjentował w genealogii domu Sobieskich, a także, że był dumny z pokrewieństwa z tym domem. I tu, zdaje się, jest punkt ciężkości artykułu.

Autor stara się dowiedzieć, że Norwid nie miał racji być dumnym, ponieważ między jego babką i królem Janem III nie było bezpośredniej łączności, a przodkowie babki nie zeznają się nie odznaczali.

Czy дума Norwida była jedynie snobizmem — któż dziś ślusznie oceni?

O dumie rodowej trudno jest mówić. Trzeba to uczucie mieć, aby je zrozumieć. W pojęciu szlacheckim дума rodowa była jedną z podstaw moralnego obywatela. Co się składało na jej treść, jakie walory przodków potomni czuli panienią, o tem zchołku sądzić nie można. Jednym z kanonów dumy jest wspólność rodowa — plany na herbie, zarówno jak blaski, zdalaka padają. Wspólne nazwisko oznaczało wspólną krew — słowo o dużej treści — a dalej wspólne tradycje i wspólne gniazdo — wszystko słowa, które do dnia dzisiejszego pogubiły znaczenie.

Dlatego gdań szlachecka rodu Sobieskich uważała łączność swoją z linją królewską i odbicie blasków tej linji za rzecz całkiem prostą, za swoje przyrodzone prawo. I tak ta sprawa przedstawiała się w opinii współczesnych — świadczy o tem wiele szczegółów, zachowanych w tradycji rodzinnej.

Do tematu przodków Norwidowej

babki, tematu, jak widzieliśmy, pełnego subtelności, autor przystępuje z wielką uwagą i — z pustymi rękami.

Ma przed sobą drzewo genealogiczne, wyczytał w nim tytuły urzędów meżów, wypisał cały szereg panieńskich nazwisk żon, ani się domyślając, co te nazwiska znacza. — i wygłasza sąd: żonili się w mierzym stanie, nie odznaczali się ani zaszczytami, ani bogactwem, „ani osobistymi zaletami”, a nieraz trzymali się kłamki pańskiej.

Ta jedna „klamka” świadczy, że autor słabo się orientuje w ówczesnych obyczajach. Cały zresztą sąd, z cytowaniem rodów, całkiem sobie nieznanych, z pozabawieniem osobistych zalet szeregu ludzi, o których się nie wie — można różnie kwalifikować, tylko już nie naukowo.

Ale jest gorzej jeszcze

Z rodzeństwa babki poety autor zajął się bardziej szczegółowo osobą najstarszego brata, Michała. Podaje jego służbową karierę — karierę wcale ładną: od kaprala za Kosińskiego do pułkownika za Rewolucję. Szczegóły wyjęte są z Akt Heroldji i opatrzone numerami fascykulów — to jest strona naukowa. Ale konkluzja wnet opiszeza grunt naukowy, aby swobodnie przejść do dziedziny sensacji. Autor nie waha się twierdzić, że Michał Sobieski był szpiegiem ks. Konstantego, opierając się na wzmiance w pamiętniku Józefa Krasińskiego, czyli na plotce! Autor zdaje się nie wiedzieć, że w owych czasach żarli się z sobą partje nie gorzej niż dzisiaj, a oszczernstwo było bronią znaną i nieskapo stosowaną. Autor widzi potwierdzenie krzywdzących poglądów w porównaniu kariery M. S. (doszedł do stanowiska członka Heroldji i Radey Stanu). Wielu zaenych i dziwnych ludzi pozostało po Rewolucji na służbie państwowej i doszło do wyższych stanowisk. I wielu kalumnia nie oszczędziła, choć pra-

cowali z większą korzyścią dla kraju, niż kłócała się emigracja w Paryżu. Dokumentacja tego rodzaju jest całkiem w stylu naszych odbronzowników — i tyleż jest warta.

Krzywdząca opinia odnosi się do czasów, znaczne poprzedzających Rewolucję. Po wybuchu Rewolucji z takimi paniami, na których ciążyły słuszne grzywiny, załatwiano się krótko. Tymczasem Michał Sobieski w grudniu 30-go r. przydzielony jest do Głównego Sztabu, a wkrótce potem awansowany na pułkownika. Autor powiada, że to dlatego, iż grywał w karty z Chłopkiem. Trzeba by dość do wniosku, że to była epoka samych łotrów. Przed takim wnioskiem, mam nadzieję, każdy się cofnie.

W szeregu przodków, którym autor w ezambul odmówił zalet osobistych, stoi jeszcze brat Michała, Ignacy Sobieski, dziadek Koryntynki. Byłem w Koryntnicy w 30 lat po śmierci Ignacego — majątek był już wówczas w trzęsich rękach. Zdumiała mnie cześć, jaką otoczona była pamięć „zalet osobistych” dawnego dziedzica w całej okolicy, od sąsiadów chłopów aż do żydów węgrowskich. Piękna treść dla dumy rodowej.

Nie rozumiem tej gorliwości, z jaką autor stara się przytłumić blask rodowy Sobieskich, a zwłaszcza odgródzić linję szlachecką od łączności z gałęzią królewską, nie tylko na dziś, ale i w przyszłości. Jeżeli chce odbrnąć Norwidowi powód do chęlności się pokrewieństwem, to trzeba przyznać, akcja jest spóźniona. Na tem polu jednak z nikim spierać się nie będę. Gotów jestem zaakceptować na klucz i własne wspomnienia i tych trochę pożytkowych szpagatów, świadków przeszłości. Uważam, że rzecz jest bez znaczenia dla literatury i dla wielbicieli Norwida. Dopóki jednak żyje, nie dam szarpać pamięci ludzi, którzy już sami obronić się nie mogą.